

Wspomnienia z pobytu w ZSRR 1940-1946

Wspomnienia Rozalii Kołodziej

spisane przez Tomasza Sadowskiego

Rozalia Kołodziej
Zamęcin
73-200 Choszczno
woj. Gorzów

www.sybiracy.centrix.pl

2004

10 luty 1940 r. Mroźna noc. Godzina pierwsza. Jesteśmy sami. Chora mama i nas pięcioro - dwóch braci (Tadeusz 10 lat, Czesław 7) i dwie siostry (Helena i Danuta, 17 i 14 lat). Ojciec wyjechał do Lwowa, gdzie brat Jan studiował na Akademii Handlu Zagranicznego, aby mu zawieść coś do jedzenia. Ciszę nocną przerywa głośnie stukanie do okna. Na pytanie „kto tam?” odpowiedziano „otwieraj, nie pytaj”. Gdy otworzono drzwi, weszło czterech Ukraińców, którzy usiedli i nie pozwolili nam się ruszyć. Tak w wielkim strachu doczekaliśmy do godziny piątej. Wtedy weszło czterech NKWudzystów, wyczytali nas i rozkazali zabierać się w czterdzieści minut. Wystraszeni nie wiedzieliśmy co robić. Chora mama płacząc mówiła: „dzieci nie ruszajcie się, tu pomrzemy”. Nie byłam jeszcze na tyle dorosła, aby móc się jakoś pakować w tym wielkim strachu. Wszedł do nas chłopak, który nam pomagał. Wyniósł część rzeczy na sanie, a reszta wszystko zostało. Gdy wyszliśmy na podwórze zobaczyliśmy, że przed każdym domem stoją sanie i ludzie się pakują. Płakaliśmy bardzo. Nie było ojca, mama chora. Po załadowaniu nas wszystkie sanie ruszyły. Było ich pięćdziesiąt sześć. Słysząc było jęki i płacz, to dzieci to dorosłych. O godzinie dziewiątej zajechaliśmy do Doreniówki - stacji kolejowej, gdzie stały przygotowane dla nas wagony bydłece, do których załadowywano po cztery rodziny. Były kobiety, dzieci i starcy, chorzy. Z wszystkim co mieli. Na środku wagonu wyróżniona była dziura, która miała służyć za ubicaję i piecyk do ogrzania i gotowania. W wagonie smród i zimno. Dali nam tylko jedno wiadro wody. Chłopak, który przyjechał do nas chcąc się pożegnać przywiózł nam trochę chleba. Pożywialiśmy się skuleni w kącie i czekaliśmy. 11 lutego pociąg ruszył. Z każdego wagonu słysząc było pełen bólu śpiew „Serdeczna Matko Opiekunko ludzi...”. Zawieziono nas do Husiatyna, gdzie stał przygotowany pociąg z wagonami bydłecymi, do którego nas przeładowano i zamknięto wagony. Po sprawdzeniu czy wszyscy jesteśmy, pociąg ruszył.

Nie umiem opisać tego, co przeżywaliśmy. Byliśmy głodni, spragnieni. Na każdej dużej stacji pociąg stawał i raz dziennie dostawialiśmy trochę zupy i kąpiatku i tak posuwał się dzień za dniem. Z brudu i ciasnoty obsypały nas wrzody, a we włosach zaległy się wszy. Z pragnienia lizaliśmy oszronione żelaza wagonu. Wreszcie 11 marca wyładowano nas na stacji Muraszy Komi ASSR. Mróz był silny. Nie mieliśmy ubrania ani ciepłych butów, więc wszyscy skuleni z zimna czekaliśmy co będzie z nami. Około godziny trzynastej podjechał samochód ciężarowy, do

którego polecono nam składać swoje rzeczy i samym wsiadać. Ruszyliśmy w dalszą drogę.

Droga prowadziła cały czas przez gęsty las. Ciemną nocą dojechaliśmy do wsi Obrocznaja, gdzie umieszczono nas u samotnej chadziajki. Była ona biedna, ale zaraz napaliła w łaźni i pozwoliła nam się umyć. Łażnię posiadała każda rodzina. Była to mała budka z drzewa, na środku stał kocioł z wodą, na kamieniach, które gdy się paliło rozgrzewały się do czerwoności, a polane wodą dawały dużo pary. Do mycia przygotowane były brzozowe miotłki, którymi po polaniu wodą trzeba było dobrze trzepać całe ciało aby się umyć. Nie umieliśmy się z nimi obchodzić, więc wyszliśmy ubrudzeni sadzą, ale i tak trochę umyć. Chadziajka nastawiła samowar. Nie mieliśmy ani grosza, ani kawałeczka chleba. Zmęczeni, głodni poukładaliśmy się na podłodze i zasnęliśmy. Rano chadziejka poszła do Kołchozu do roboty, a my wstaliśmy i nie wiedzieliśmy co zrobić. Byliśmy głodni, mama chora płakała. Byłam bezradna. Nawet nie mogłam się z nikim porozumieć, gdyż tamtejsza ludność rozmawiała po komi. Wreszcie przyszła chadziajka z drugą kobietą, która rozumiała po rosyjsku i poradziła nam byśmy sprzedali poduszkę, którą sama kupiła za 30 rubli tj. 30 kg chleba. Druga oddaliśmy chadziajce, która dawała nam trochę ziemniaków i pół litra mleka dla mamy.

Wieś Obrocznaja była dość duża - około 120 domków. Każda rodzina miała swój dom składający się z dwóch części: mieszkalnej i obory. W części mieszkalnej była izba i kuchnia. Gotowało się wszystko w piecu takim jak do pieczenia chleba. Było jedno łóżko, ale spaliśmy wszyscy razem na piecu, bo tam było ciepło. Był marzec, ale mróz sięgał 36 stopni. Śniegu było przeszło na jeden metr. Na trzeci dzień przyszedł NKWDzista, spisał nas i powiedział, że mamę i braci Tadeusza i Czesława zabiorą do domu opieki, Danutę - siostrę do szkoły, a ja zostanę z siostrą Heleną, która coś już będzie mogła robić w kołchozie. Mama moja strasznie płakała. Nie chciała iść, więc nie dałam nikogo i zostaliśmy. Na drugi dzień zabrano mnie do roboty 40 km od wsi Obrocznaja do wsi Wiekszor, gdzie miałam pracować przy budowie tamy na rzece. Ciężka to była praca dla dziewczyny osiemnastoletniej. Nie miałam nikogo kto mógłby mnie wesprzeć. Tylko jeden Bóg. Nie miałam się w co ubrać, a mróz był silny 30 –36 stopni. Trzeba było kopać rów 1 metr szeroki, a 3 metry głęboki. Na wierzchu była warstwa śniegu na przeszło 1 metr, a gdy zwałiło się śnieg ziemia była zamarznięta też na metr. Wykopanie jednego metra

sześciennego to zarobek 6 rubli. Ręce miałam spuchnięte od pracy i zimna. Wszystkie kości mnie bolały, ale musiałam pracować. Przecież tam była mama i rodzeństwo, które czekało na mój zarobek. Za dwa tygodnie pracy zarobiłam 54 ruble. Była to sobota wielkanocna. Puścili nas o godzinie dwunastej i poniedziałek mieliśmy wolny. Poszliśmy do Obrocnej. Z początku szłam dobrze, a później coraz gorzej, zmęczona pracą, głodna, nie miałam siły. Współtowarzysze przeważnie mężczyźni byli silniejsi. Nas troje - ja i małżeństwo szliśmy coraz słabiej. Kilka km od mamy już wcale nie mogłam iść, co uszłam troszeczkę to musiałam odpoczywać. Na godzinę 24 dowlekłam się do mamy. Płakała nade mną jakbym już umarła, ale co było robić....

Pierwszą Wielkanoc byliśmy sami. Nie wiedzieliśmy gdzie jest nasz Tatuś ani brat. Nie było Rezurekcji ani świeconego jajka. Mama kupiła chleba, który był paschą dla nas. Przy ślicznej ikonie prosiliśmy Boga o opiekę nad nami. Z zarobionych pieniędzy 40 rubli zostawiłam mamie, a 14 wzięłam na życie i w poniedziałek ruszyłam w drogę razem z innymi. Nadjechał samochód ciężarowy, zabrał nas i chociaż bardzo zmarzliśmy za godzinę byliśmy na miejscu. Pracowałam tam jeszcze cały kwiecień. Od 1 maja skierowali nas na spławy. Praca tam była ciężka i niebezpieczna. Rzeka rozlała się i gdzie spojrzeć, wszędzie była woda niosąca drzewo. Nas skierowano do staczania drzewa do rzeki. Nie umiałam tego i często staczające drzewo tłukło moje nogi. W tym czasie rodzinę moją przewieźli również do baraków. Miałam trochę bliżej do mamy, której mogłam się pożalić jak bardzo mi ciężko. Praca była od świtu. O godzinie piątej w stołówce zupa i chleb i do roboty. O dwunastej przywożono zupę i chleb. Dzień pracy kończył się z zachodem słońca. Ponieważ rzeka była rozlana musieliśmy łódkami dostać się do baraku. Zmęczona pracą, głodna, często nie miałam nawet siły by przynieść zupę ze stołówki. Wyzuwałam mokre buty, wieszałam na krawędzi łóżka (kajki), myłam nogi i mówiąc „Boże opiekuj się mną”, na gołych deskach, bez poduszki i z kufajką pod głową zasypiałam. Nocy nie było tam wiele. Cały czas było widno i cały czas praca. Nas Polaków nie dawano na drugą zmianę. Po dwudziestu dniach pracy nie było za co kupić jedzenia. Było mi bardzo ciężko. Puścili nas do rodzin. Poszłam do mamy. Zaniósłam parę rubli, które zarobiłam. Umyłam się, wyprałam swoje rzeczy i z powrotem... Zabrałam ze sobą siostrę Helenę. Poprosiłam i majster dał jej pracę.

Było mi trochę źle. Przyniosła ze stołówki zupełną póki ja przyszedłam i ze sklepu chleb. Miałyśmy więcej parę groszy, więc kupowałyśmy i kaszę.

Po zakończeniu spławu dano nas do pracy w lesie. Praca była ciężka. Każda kobieta miała kogoś - męża, ojca, brata. Ja nie miałam nikogo. Było mi bardzo źle, ale Bóg wspomagał moje siły. Przydzielono mi konia, którym wozilałam drzewo z lasu nad rzeką. Siostra Hela pracowała przy czyszczeniu rzeki, a potem przy grabieniu siana. Trochę do pracy chodziła też siostra Danka. W lesie było pełno grzybów i jagód. Życie było trochę źle.

Przeżyliśmy tam do 1942 roku. Przewieziono nas na inne baraki. Pracować trzeba było w lesie. Pracując przy zwózce drzewa trzeba było jechać nieraz 18 km po drzewo, a potem z powrotem z drzewem. Drzewo ładowane było sanie i z tych na podsadki, gdyż było to drzewo materiałowe. Droga biegła przez las. Drzewo przetaczało się bardzo ciężko. Przy ładowaniu drzewa, drzewo spadające potłukło mnie łamiąc mi prawą rękę i uszkadzając kręgosłup. Udałam się do lekarza. Dał okłady i pięć dni zwolnienia, a gdy przyszedłam po pięciu dniach znowu, powiedział, że jest już za późno i tak zostałam kaleką do dzisiaj. Tymczasem było nam coraz gorzej. Na każdego kto pracował dawano 80 deko chleba. Na niepracujących 30 deko. Zupa tylko dla pracujących. Dokuczał nam głód. Pracując w lesie cały dzień zimną gryźliśmy żywicę, wiosną korę z sosny, świerka lub brzozy, która po zdarceniu wierzchniej twardej powłoki była dobra. Mama czuła się coraz gorzej. Nie wolno nam było się nigdzie ruszać. Pracując w lesie trzeba było wyrobić normę - inaczej nie dostało się chleba. Ciężko nam było bardzo. Porcję chleba zmniejszono do 50 deko dla pracującego, a 20 dla dzieci i niepracujących. Zbieraliśmy grzyby i różne chwasty, którymi się żywiliśmy. Niektóre grzyby były trujące. Ludzie wymierali. Obok nas były baraki w których mieszkało 60 rodzin. Wiosna pokazały się grzyby. Ludzie uważali, że to są smardze, nazbierali i z 60 rodzin zostało tylko dwoje dzieci. Reszta wymarła.

Wreszcie dostaliśmy paszporty. Mogliśmy się poruszać, więc jesienią w niedzielę szliśmy do wsi 18 km, aby zarobić u chodziajek trochę ziemniaków pracując przy wykopkach. Ziemniaków dostaliśmy tyle ile mogliśmy unieść, więc każdy brał, a trzeba je było nieść 18 km. Od sznurów na ramionach porobiły się rany, ale my byliśmy głodni.

Po powstaniu 1943 roku ZPP ludzie wybierali się, aby wyjechać do Persji. Do najbliższej stacji kolejowej mieliśmy 120 km. Zima była ciężka, ale my też ususziliśmy trochę chleba i wybieraliśmy się razem z innymi. Sąsiedzi z baraków zrobili nam dwoje sanek, jedno dla wiezienia mamy a drugie na rzeczy. W dniu wyjazdu mama nasza ciężko zachorowała. Zmuszeni byliśmy zostać. Przeżyłam to okropnie tak pragnęłam do Polski. Nie raz mówiliśmy, że gdy wrócimy kościół obejdziemy na kolanach, by podziękować Bogu. A tu nadzieja na powrót malała. W barakach z 58 rodzin zostało 5 rodzin. Pierwsze dni nawet do pracy nie chodziliśmy, gdyż byliśmy jak struci. Później przewieźli do nas jeszcze 5 rodzin z drugich baraków i tak żyliśmy. Mnie dano pracę przy karmieniu krów, siostra Hela poszła do pomocy w stołówce, Danką pracowała przy drodze, a i brat Tadek już trochę pracował, więc mieliśmy 2 kg 40 deko chleba.

Jak promyk słońca był dla nas list od tatusia, który również szedł do Persji. Spotkał ludzi z naszych baraków, którzy dali mu nasz adres. Tatuś pocieszał nas, że się jeszcze zobaczymy i że nasz brat żyje. Mężczyźni, których wzięto do wojska upominali się o swoje rodziny, że żyją w nędzy. My nie mieliśmy nikogo. Mówiono nam: „nikt się o was nie upomni”. Odpowiadałam zawsze: „o nas upomni się Bóg”. Wreszcie 10 maja 1944 roku kazano nam się pakować i 11 maja mieliśmy być w Łojmie, aby wsiąść na statek. Do Łojmy było 18 km. Trzeba było iść pieszo, a mama była chora. Nie mogła iść, więc musieliśmy ją nieść. Bardzo ciężka była to droga, ale od rana do wieczora dobrnęliśmy, załadowaliśmy się na statek i 12 maja odpłynęliśmy żegnani serdecznie przez tubylców. 15 maja na stacji Ujście Łuszy załadowaliśmy się do pociągu i przez cały miesiąc jechaliśmy by dojechać do Krasnodaru, a stamtąd do sowchozu im. Mołotowa. Umieszczono nas w domach po niemieckich kolonistach. W domach było pusto i brudno. Nie było żadnego łóżka ani stołu. Porozwalane piece, gdyż tędy przeszedł front. Było tam ciepło. Zimy prawie nie było. Rosły całe pola winogron, kawonów, melonów, pomidorów i innych warzyw. Na polach rosły piękne zboża. Nam nie dawano chleba. Wokół dużego rozwalonego młyna rosła piękna zielona lebioda (komosa), zrywaliśmy ją i tym się żywiliśmy. Klimat był dla nas nieodpowiedni, niszczyła nas malaria. Mama czuła się coraz gorzej – lekarz, który ją odwiedził nic nie pomógł. Leżała na posłaniu z piołunu, gdyż nic innego nie było i nie dokuczały tak pchły. Pragnęliśmy chociaż

skibki chleba, ale nie było. Chora mama stale prosiła chleba. Serce rozdzierało się z bólu.

17 września 1944 niedziela. Mama nasza umarła. Stanęliśmy bezradni przy niej płacząc. Dyrektor sowchozu kazał nam ją owinąć w prześcieradło i pochować na cmentarzu, gdzie już leżała jedna Polka. Płakaliśmy okropnie. Dyrektorowi żal się zrobiło i pozwolił rozbić deski z wozu na trumnę. Zrobił nam ją Polak Sezański. Trumnę pobieliliśmy białą gliną i czarnym smarem namalowaliśmy krzyż. Serce moje pękało z bólu. Grób wykopali nam koledzy po godzinach pracy, gdyż wolnego im nie dali. Wzięliśmy trumnę z najdroższą istotą i sami zanieśliśmy do grobu. Nikt nam nie pomógł, bo Polakom nie było wolno, a Ruscy tym się nie zajęli. Byliśmy sami, bez ojca. Po przejściu od grobu, na którym postawiliśmy krzyż z napisem „żegnaj nam mamusiu, przyjdziemy do ciebie” stanęliśmy w kółku płacząc. Bracia Tadeusz i Czesław byli jeszcze niedorośli 15 i 12 lat. Mama zawsze polecała ich mojej opiece, prosiła, aby nie pozostali nie umiejąc pisać i czytać. Jak mogłam tak się zajmowałam wszystkimi, chociaż było mi bardzo ciężko. Po śmierci mamy poszłam do pracy w ogrodnictwie. Ponieważ nauczyłam się dobrze pisać i czytać po rosyjsku ogrodnik często zostawiał mnie, abym wydawała produkty do innych sowchozów, do szkoły, domu dziecka, NKWD. Było mi lepiej. Ogrodnik był dla mnie dobry, pozwalał mi wziąć troszkę do domu, więc życie nasze było lżejsze. Nazbieraliśmy kłosek palecy zrobili ziarna i z mąki otrzymanej piekliśmy takie placki tam zwane „Pyszki”. Nie cierpieliśmy głodu. Szkoda, że mama tego nie dożyła. Umarła prosząc chleba....

Nareszcie w lutym zawiadomiono nas, aby zgłaszać się do NKWD z dowodem, że jesteśmy z Polski i pojedziemy. Dzięki znajomości z NKWD zostaliśmy zaliczeni do pierwszego transportu.

W marcu 1946 roku przewieziono nas do Anapy, a stamtąd koleją do Krasnodoru. W Krasnodorze nowy kłopot - bracia moi byli na dokumencie mamy, a z chwilą jej śmierci dokument zabrano i powiedziano nam, że nie mogą ich puścić do Polski. Udałam się do polskiego prawitelstwa. Nic mi nie pomogli. Poszłam do NKWD. Pijany naczelnik wpisał mi ich jako dwóch synów i tak przywiozłam ich do upragnionej Polski. Przywieziono nas do wsi Cytów gm. Rychwałd pow. Zgorzelec. Przyjęto nas serdecznie Napalono w Łażni. Wszyscy się wykąpaliliśmy. Dano nam

czystą bieliznę i ubranie, gdyż przyjechaliśmy ubrani gorzej od nędzarzy. W stołówce przygotowana była dla nas gościna - makaron z mlekiem i chleb z masłem i kawa. Klękając na kolana dziękowaliśmy Bogu. Dano nam domy i gospodarstwa. Byliśmy sami, więc daleki kuzyn zabrał nas i zamieszkaliśmy w Zamecinie powiat Choszczno woj. Szczecin, gdzie on był sołtysem. Pamiętając słowa mamy zaznajomiłam się z kierowniczką szkoły i obesłałam całą wieś namawiając do uczestnictwa w wieczorówce, do której uczęszczał brat Tadek, a Czesiek poszedł do szkoły. Dzisiaj obydwaj są pośredniej szkole. Mają wszyscy swoje rodziny. Ja też ukończyłam skrócone liceum i pracowałam jako księgowa w spółdzielni do 1958 roku, a od 1958 do 1988 roku jako kier. Biblioteki. Teraz jestem na emeryturze. Kaleka nikomu nie potrzebna. Czuje moje serce wielki żal za krzywdę mi wyrządzoną.